

KRU
CHOŚĆ

MARCIN SILWANOW

KRU CHOŚĆ

MROczne  PODLASIE

MO
VA

Redaktor prowadzący: Wojciech Ciuraj

Wydawca: Wojciech Ciuraj

Redakcja: Karol Godlewski

Korekta: Sylwia Zazulak

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © irenastar, Bestai / Stock.Adobe.com;

Wyklejka: © Bestai / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by Marcin Silwanow

Copyright © 2026, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

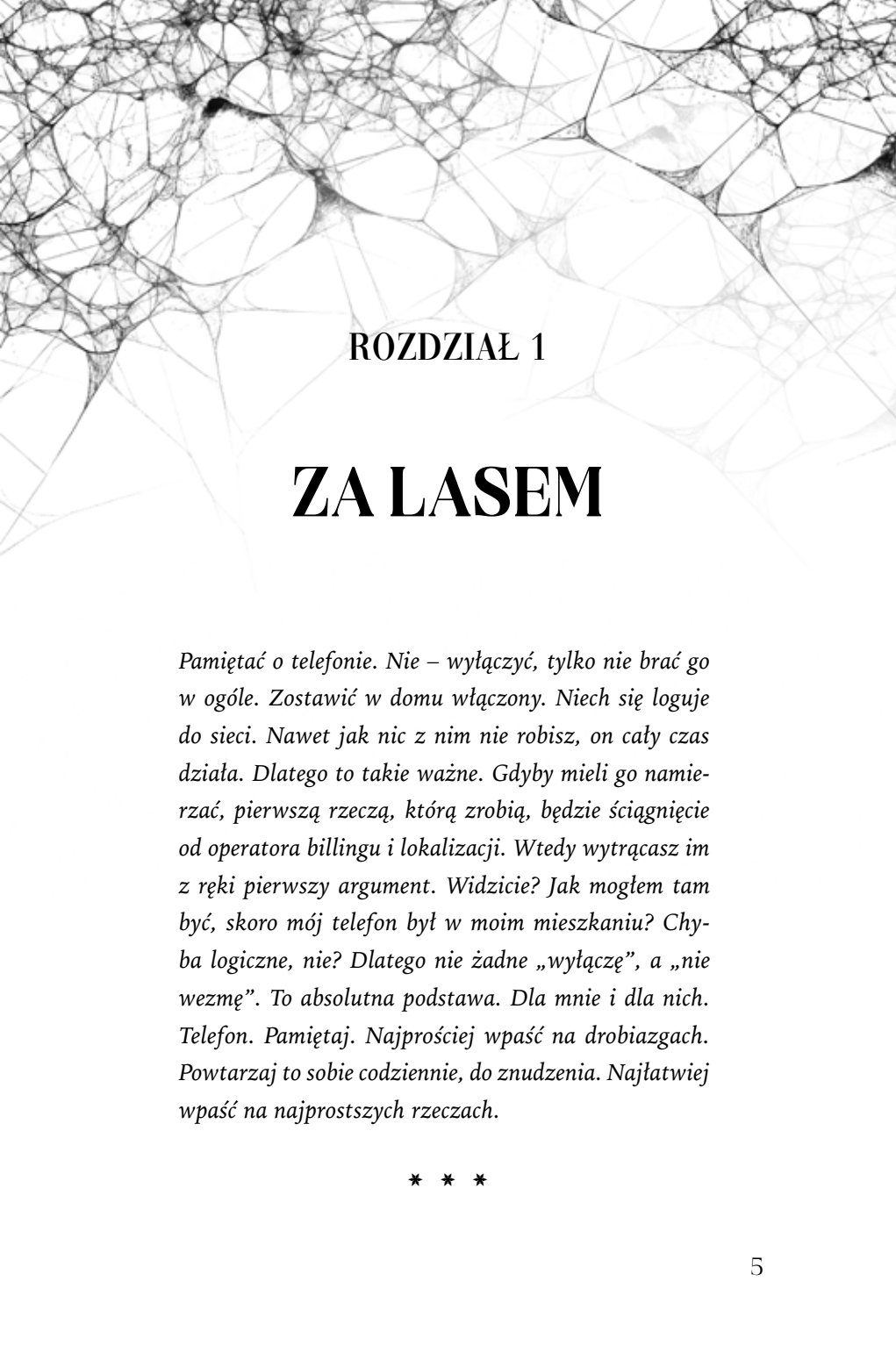
Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-782-2

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss



ROZDZIAŁ 1

ZA LASEM

Pamiętać o telefonie. Nie – wyłączyć, tylko nie brać go w ogóle. Zostawić w domu włączony. Niech się loguje do sieci. Nawet jak nic z nim nie robisz, on cały czas działa. Dlatego to takie ważne. Gdyby mieli go namierzać, pierwszą rzeczą, którą zrobią, będzie ściągnięcie od operatora billingu i lokalizacji. Wtedy wytrącasz im z ręki pierwszy argument. Widzicie? Jak mogłem tam być, skoro mój telefon był w moim mieszkaniu? Chyba logiczne, nie? Dlatego nie żadne „wyłączę”, a „nie wezmę”. To absolutna podstawa. Dla mnie i dla nich. Telefon. Pamiętaj. Najprościej wpaść na drobiazgach. Powtarzaj to sobie codziennie, do znudzenia. Najłatwiej wpaść na najprostszycch rzeczach.

★ ★ ★

Leśniczy Bogdan Majewski zaklął, przekręcając kolejny raz kluczyk w stacyjce. Tym razem był pewny, że się uda, że zaskoczy, słyszał przecież dźwięk rozrusznika, który brzmiał, jakby już tak niewiele dzieliło go od zapłonu. Chwilę później jak nożem uciął, cisza. Leśniczy zaklął jeszcze raz i spojrzał na prawą dłoń. Wiedział, że to bez sensu i nawet rozejrzał się krótko, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie zauważył tej niedorzeczności, a potem wytarł o spodnie kciuk i palec wskazujący, jakby od pewności uchwytu zależało, czy rozrusznik załapie. Jeszcze raz: krótkie spojrzenie wokół, na wszelki wypadek, żeby nikt się nie śmiał. Później jednym krótkim ruchem Bogdan przekręcił kluczyk i otworzył usta z poczuciem ulgi i niedowierzaniem. Silnik zamruczał miarowo. Leśniczy spojrzał na palce i znów się rozejrzał. Tym razem, jakby chciał powiedzieć do niewidocznych świadków: „A nie mówiłem?! Od początku wiedziałem, że chodziło o palce. Kiełbasę przy śniadaniu trzymałem, to i ręka mi się na kluczyku ślizgała”. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że dwudziestodwuletnia „ravka” miała prawo do humorów. Była z nim od początku. No, prawie od początku, bo najpierw jeździł nią ktoś w Niemczech, ale potem już tylko on. Bo leśniczy Majewski nie lubił zmian. Pewnie dlatego wciąż się nie rozwiódł, choć wszyscy, koledzy i nawet siostra, mówili mu, że powinien. Myślał o tym, to prawda, ale gdy się tak zastanawiał, za każdym razem dochodził do wniosku, że w jego małżeństwie właściwie nie działo się nic złego. Żadnych zdrad czy awantur. Tylko cisza. Coraz częściej, w zasadzie prawie cały czas. Kiedy oboje z żoną byli w domu, nie odzywali się do siebie. Trudno się kłócić, gdy się ze sobą nie rozmawia. Trudno rozmawiać,

kiedy się wie, że po drugiej stronie jest ktoś, kto nie jest nas ciekawy. Bogdan od dłuższego już czasu czuł, że coś między nim a Basią przestało stykać. Takie określenie przyszło mu do głowy. Jak w „ravce”, myślał i uśmiechał się sam do siebie na to porównanie. Później jednak, tak jak w jego samochodzie, samoistnie, bez żadnego szczególnego starania coś zaskakiwało i rozmawiali. Trwało to raptem dzień, dwa z uwzględnieniem nocy, która była pomiędzy, a obojgu im dawała moment odprężenia przed ciszą, która miała nadejść niebawem. Bogdan nie pamiętał, kiedy ostatnio był ten okres poprawy. Wiedział tylko, że musiało to być dość dawno, bo coraz częściej, przejeżdżając przez wieś, spoglądał niespokojnie w okna domu pod numerem piętnastym. Mieszkała tam Maria Łobacz, jego rówieśniczka. W dzieciństwie razem chodzili do szkoły, która była za lasem. Zazwyczaj wyruszali ze wsi całą grupą. W ósmej klasie Bogdan zaczął zostawać z tyłu. Dosłownie. Niby szedł ze wszystkimi, ale celowo zwalniał kroku, by po kilku minutach znaleźć się na tyle daleko, że nie mógł i nie musiał uczestniczyć w beztroskiej rozmowie. Bał się, że Maria coś do niego powie, a on będzie musiał odpowiedzieć. Nie umiałby znaleźć właściwych słów. Nie miałby odwagi odwzajemnić spojrzenia. Piętnastoletni Bogdan nie zdawał sobie do końca sprawy, co się z nim dzieje. Zrozumiał dopiero wtedy, kiedy zobaczył, jak Kostek ją całował, a ona nie stawiała mu oporu. Musiał przyznać, że sprawiała wrażenie, jakby było to dla niej przyjemne. Kostka nie było później w szkole przez tydzień. Ojciec zbił go, bo ten nie chciał zdradzić, kto połamał mu nos i żebro. Wtedy właśnie Bogdan zrozumiał, że był zakochany. Obecnie od

pewnego czasu, mniej więcej odkąd jego i Basię zaczęła rozdzielać cisza, częściej zwracał uwagę na Marię.

Odczekał dwie minuty, żeby się upewnić, że silnik nie zgaśnie, po czym wyjechał z podwórka na drogę. Odwrócił głowę w stronę domu, jakby się spodziewał, że w oknie zobaczy machającą mu na pożegnanie Basię, ale był w tym spojrzeniu raczej rodzaj ulgi, że zniknął jej z pola widzenia. Inaczej było, kiedy mijał dom Marii. Tam liczył, że dostrzeże ją choćby na chwilę. Zdawało mu się nawet, że widział jakiś ruch za firanką, ale mogło to być tylko złudzenie. Albo jej brat, Ryszard, ten...

Tuż za wsią zaczynał się las. Bogdan zamierzał zajrzeć do ekipy, która prowadziła wycinkę, a potem przejść się w kierunku bagna. Od ludzi we wsi słyszał, że sporo drzew uschło w tamtej okolicy, i musiał to sprawdzić. Przede wszystkim jednak zależało mu na rozmowie z szefem firmy zajmującej się wycinką. Miał dać mu odpowiedź na pytanie, które, kiedy je usłyszał, wywołało w nim przyjemny dreszcz podniecenia. Kto nie lubił czuć władzy, a tym bardziej gdy można było na tym zarobić? Nie chciał jednak wyjść na amatora. Musiał pokazać, że to on dyktuje warunki, i choć wiele go to kosztowało, powiedział, że potrzebuje czasu do namysłu. Jego rozmówca domyślał się, że leśniczy tak naprawdę podjął już decyzję. Najwyraźniej był na tym polu bardziej doświadczonego graczem i dostrzegł odpowiedź w wyrazie twarzy Bogdana. Dlatego w milczeniu pokiwał ze zrozumieniem głową. W tym momencie stało się dla niego jasne, że będzie mógł zaproponować Bogdanowi niższą kwotę. Leśniczy wyżej cenił poczucie własnej sprawczości niż grubość pliku pieniędzy,

który miał otrzymać za takie wypisanie papierów, by ilość wywiezionego drzewa się zgadzała.

Majewski sięgnął po paczkę papierosów i puszczając na chwilę kierownicę, drugą ręką zaczął grzebać w schowku, w poszukiwaniu zapalniczki. Niedługo później uchylił okno i wydmuchał przez nie zwartą smugę dymu, który długo jeszcze unosił się za samochodem. Listopadowe powietrze pachniało nadchodzącym mrozem. Bogdan zwolnił na nierównościach drogi i mocniej naciągnął na głowę czapkę. Nikotyna pobudziła krążenie. Wraz z nim wróciła do niego myśl o Marii, a konkretnie jedno wyobrażenie. Był zbyt zmęczony sytuacją z Basią, by tworzyć romantyczne wizje, i zbyt spragniony kobiety, aby trwonić czas na rozmowę. Dlatego w tej wizji widział swój rytmicznie poruszający się brzuch, a dalej, przed nim, drgające od uderzeń piersi Marii. Zaklął i wcisnął hamulec. Zając. Kiedy go zauważył, skręcił i jednym kołem wjechał do dołu w drodze, ale to wystarczyło, by trzymana jedną ręką kierownica poruszyła się gwałtownie, a „ravka” skręciła wprost na pień drzewa. Zdażył się zatrzymać. Dopiero po chwili się zorientował, że z dłoni wypadł mu papieros, i zaczął szukać go nerwowo we wnętrzu auta. Gumowa wycieraczka nawet się nie przytopiła. Podniósł niedopałek, zaciągnął się jeszcze dwa razy i rzucił go za okno. Jechał przez jakiś czas, próbując wrócić do obrazu leżącej pod nim Marii, ale nie mógł się skupić. Ze złości zapalił kolejnego papierosa i wtedy zobaczył przed sobą poruszającą się ciemną plamę. Zwolnił, a gdy przejeżdżał obok, rozpoznał Elżbietę, żonę mechanika. Oboje mieszkali w nowym domu na końcu wsi. Przez moment niemal niedostrzegalnie, nawet

nie w pełni uświadomiona przeszła mu przez głowę myśl: las, pustkowie, samotna kobieta... Bogdan skinął sąsiadce głową, a ona odwzajemniła gest. Kiedy spojrział w lusterko, zobaczył, że za nim nie patrzyła. Nie miał pojęcia, co tutaj robiła, ale sprawiała wrażenie pochłoniętej własnymi myślami. Po co przyszła sama do lasu w mroźny listopadowy dzień? Bogdan przypomniał sobie, że w połowie lat dziewięćdziesiątych chodzili ze sobą przez cztery miesiące. To było niedługo po tym, jak zobaczył Marię z Tomkiem. Chciał się w ten sposób na niej odegrać, choć nie zdawał sobie sprawy, że Maria w ogóle tego nie dostrzegła. Ela miała długie włosy w kolorze słomy, którą co roku pomagał ojcu zwozić z pola. Do tego nieschodzący z twarzy uśmiech i ciekawość większą niż płochliwość, która cechowała nastolatki. Mogło być też tak, że Bogdan po prostu się jej podobał. W każdym razie, gdy zaproponował jej chodzenie, a zrobił to dosłownie w tej formie, powiedziała, że dobrze, może spróbować. Spróbowali. Przez cztery miesiące przeszli razem kilkaset kilometrów po otaczających wieś Góra lasach i polach. Bogdan nigdy wcześniej ani później z nikim tyle nie chodził i nie rozmawiał. Dość szybko odkrył, że w towarzystwie Eli czuje się lepiej niż z niejednym kolegą. Całowali się rzadko. Bardziej dlatego, że tak wypadało, skoro zostali parą. Zaskakującym dla niego odkryciem był dotyk czyjegoś ciała. Odkąd matka przestała go brać na kolana, a ojciec przyjacielsko tarmosić włosy, nikt go nie dotykał. Sporadycznych wizyt u lekarza i przepychanek z kolegami do tego nie zaliczał. Kiedy więc na jednym ze spacerów objął Elę, a ona przywarła do niego i poczuł bliskość miękkiej, ciepłej skóry, znieruchomiał. Odsunął się

o pół kroku, a potem znów przylgnął do dziewczyny, by się upewnić, że to nie złudzenie. Poczuł to samo. Cztery miesiące później dowiedział się, że Maria już się nie spotyka z Tomkiem. Poszedł do Eli po raz ostatni i powiedział, że już nie będzie z nią chodzić, a ona tak samo jak wtedy, kiedy zapytał, czy z nim będzie, odpowiedziała krótko, że dobrze, że mogą już ze sobą nie chodzić. Bogdan rzucił krótkie „no to cześć”, odwrócił się i wyszedł. Nie usłyszał dźwięku zamykających się za nim drzwi, ale i nie zwrócił na to uwagi. Ela stała w progu, nawijając na palec kosmyk włosów w kolorze słomy. Drugą ręką ocierała łzy. Kiedy pięć lat później wychodziła za Marka, na widok Bogdana wciąż odczuwała coś w rodzaju ukłucia na wysokości splotu słonecznego. On ostatecznie nie związał się z Marią. Kobieta wyjechała z Góry i słyszał tylko, że wyszła za mąż za jakiegoś inżyniera. Wróciła przed kilkoma laty, już jako wdowa. Potem powrócił jej brat Ryszard i zamieszkali we dwoje. We wsi ludzie różnie o tym mówili. Nie brakowało takich, którzy nie stroniąc od docinek, szeptali między sobą, że siostra żyła z bratem jak z mężem. Plotki te docierały również do Bogdana, ale nie zaprzętał sobie nimi głowy. O Marii myślał jedynie w ten sposób, jaki widział w swoim wyobrażeniu. Gdy wyrzucił przez okno kolejny niedopałek, zadzwonił telefon.

– Kiedy będziesz? – Głos był stanowczy, a pytanie brzmiało jak polecenie, że ma się stawić niezwłocznie.

– Jadę, już jadę. Zaraz – powiedział Bogdan przepraszającym tonem. Prawidłowo odczytał intencje swojego rozmówcy.

Na ulicy wcisnąłby w tym momencie mocniej pedał gazu, ale na leśnej drodze nie miało to sensu. Zaciśnął mocniej

dłonie na kierownicy i pochylił się. Myślał o tym, że za kilka minut będzie musiał odegrać spektakl, który miał pokazać, głównie jemu, że łapówka, którą zgodzi się przyjąć, to tak naprawdę skromna rekompensata za poniesiony przez niego trud, a nielegalna wycinka to po głębszym zastanowieniu przysługa i dla przyrody, i dla zarządcy lasu.

– Cześć, trochę ci zeszło. – Chudy, wysoki blondyn wyciągnął dłoń na powitanie i uśmiechnął się do Majewskiego.

Bogdan nie odpowiedział. Byli umówieni na dziesiątą i do wyznaczonej godziny brakowało jeszcze kilku minut.

– To jak? Namyśliłeś się? – Mężczyzna obserwował reakcję leśniczego. Czasami mimika mówiła drugim, innym głosem.

– Tak. – Bogdan uciekł wzrokiem.

– Czyli się dogadamy?

– Musimy działać tak, żeby ludzie niczego się nie domyślali. Żadnych akcji z jeżdżeniem po nocy. Wszystko w biały dzień, jawnie. Nikt się nie doliczy ani nie będzie pytał, ile przyczep ma wyjechać z lasu. Mamy zakontraktowane, to wywozimy.

– Brzmi dobrze. – Blondyn znów się uśmiechnął. – Masz już miejsce, z którego będę mógł brać...? – Znacząco zawiesił głos.

– Tak. – Bogdan mówił rzeczowo. Dużo czasu spędził, analizując warunki panujące w lesie. Musiał wybrać miejsce, do którego nikt się nie zapuszczał. Najlepiej trudno dostępne, a jednocześnie z możliwością dojazdu traktorem z przyczepą. – Zawiozę cię, tylko... – Tym razem leśniczy spojrzał uważnie na swojego rozmówcę.

Tamten zrozumiał, co znaczy wymowna pauza.

– Dostaniesz tyle, ile mówiłeś. Najpierw pomyślałem, że trochę za drogo, i chciałem szukać dalej, ale wydajesz się uczciwym gościem. Tu masz na poparcie. – Sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i podał leśniczemu kopertę.

Bogdan rzucił kilka krótkich spojrzeń na boki, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie widzi, co podobnie jak wtedy, gdy próbował uruchomić silnik auta, wyglądało dość groteskowo. Później szybkim ruchem wziął kopertę i nie sprawdzając jej zawartości, włożył ją do spodni.

– Dobra, zostaw tu auto i pojedziemy moim. Pokażę ci miejsca – zaproponował i otworzył drzwi Toyoty.

Blondyn usiadł obok. Za pierwszym razem silnik nie odpalił. Niezrażony tym leśniczy wytarł palce prawej dłoni o spodnie i znów przekręcił kluczyk. Tym razem silnik się odezwał i po chwili samochód powoli ruszył, przechylając się na opadającej leśnej drodze. Jechali w milczeniu. Bogdan zaczął się zastanawiać, co będzie dalej. Myślał o tym już wcześniej, ale wtedy kieszeni nie wypychały mu nielegalnie uzyskane pieniądze. Jeszcze nic się nie stało, jeszcze mógł oddać kopertę i wysadzić mężczyznę, ale wahanie trwało tylko chwilę. Niedługo później górę wzięło poczucie satysfakcji. Coś osiągnął. Ktoś się z nim liczył, a tego potrzebował najbardziej. Siedzący obok blondyn doskonale zdawał sobie z tego sprawę już po pierwszej rozmowie.



Marek Kosicki pochylił się przed lustrem, próbując przyjrzeć się przekrwionym białkom swoich oczu. Był niewysoki, więc musiał trochę się unieść na palcach. Miał czterdzieści pięć

lat, doświadczenie tysięcy narkotycznych odlotów za sobą i choć nic nigdy w jego zachowaniu i wyglądzie nie zdradzało, że palił marihuanę, nie umiał zamaskować wyglądu swoich oczu. Żeby to ukryć, próbował używać kropli, ale od dziecka obawiał się tego rodzaju zabiegów. Nie potrafił wyjaśnić tego inaczej niż wrodzonym lękiem, bo nie pamiętał, by kiedykolwiek wydarzyło się coś, co mogłoby spowodować traumę. Po prostu na myśl, że ktoś, czy nawet on sam, miałby robić cokolwiek z jego oczami, odczuwał lęk. Poklepał się po policzkach, bo wydawały mu się nienaturalnie blade, a potem włożył szklaną lufkę do ust. Kilka sekund później wypuścił z ust słodki dym. Teraz poczuł to, o co chodziło. Odurzenie oddzielało go od świata niewidzialną błoną i choć nic się w zasadzie nie zmieniło, dotykał go jak przez grubą rękawicę. Myślał i odczuwał prawie tak, jak na co dzień, zachowując przy tym nawet względną przytomność umysłu, a umiejętność tę kształcił w sobie przez lata systematycznego używania narkotyku. Doprowadził tę zdolność do takiego stopnia, że jedynie nielicznym udawało się nabrać cień podejrzenia, a tylko Ela potrafiła rozpoznać, nawet z pewnej odległości, że nie był trzeźwy. Nie używał innych narkotyków, choć był czas, że próbował większości z nich. Pozostał jednak wierny marihuanie, którą palił od niemal trzydziestu lat, i w rzadkich momentach autorefleksji stwierdzał, że nikt nie zna go tak dobrze, jak jego nałóg. Prowadził we wsi warsztat samochodowy, a niedawno wybudował na działce подарowanej przez rodziców Eli dom. Do tego nigdy od nikogo nie musiał pożyczać pieniędzy, a dwa razy w roku wyjeżdżał z żoną na zagraniczne wakacje. Tymi argumentami zawsze wygrywał wewnętrzną

licytację z poczuciem winy. Teraz Marek zaciągnął się jeszcze raz, otworzył niewielkie okno w toalecie i wszedł do warsztatu. Dwaj pracownicy najpierw się odwrócili, słysząc dźwięk otwieranych drzwi, a potem spojrzeli na siebie. Marek był pewny, że się domyślali, co robił przed chwilą, i tylko udawali przed nim, że tego nie wiedzą. W rzeczywistości jednak mechanicy nie mieli pojęcia o jego nałogu. Uważali go za uczciwego faceta, któremu w życiu się poszczęściło, ale jak większość ludzi pozostających w zależności od kogoś, woleli po prostu, kiedy ten ktoś nie przebywał zbyt blisko. Marek nie wiedział, że mężczyźni słyszeli jego kłótnię z Elą i widzieli, jak wyszła z domu, po czym skręciła w lewo tuż za bramą. Zdarzało im się już być świadkami kłótni szefa z żoną, ale choć do tej pory żadna nie zakończyła się w ten sposób, nie zajmowali się tym dłużej, niż trwa wymiana porozumiewawczych spojrzeń.

– Kiedy skończycie? Dacie radę do jutra? Klient od Audi wydzwania. Szlag by go trafił – zwrócił się Marek do swoich pracowników.

– Powinniśmy zdążyć. Robimy na cztery ręce, to raczej pójdzie. A co ten klient taki narwany? – zagadnął szefa ten, który stał obok podnośnika.

– A daj spokój, Kostek. Tak to jest ze znajomymi. Obiecałem pomóc, a nie rzucić wszystko i zająć się jego szrotem.

W radiu zaczęła się właśnie piosenka, którą Marek w przepływie dobrego humoru śpiewał Eli. Był czas, że nawet akompaniował sobie na gitarze. Teraz jednak pierwsze dźwięki, a tuż potem słowa sprawiły, że wrócił myślami do żony. „Znikałaś gdzieś z domu nad Wisłą...”, sączył się głos z głośnika.

Widząc, że szef się nad czymś zamyślił, mechanicy wrócili do pracy. Kosicki przez chwilę jeszcze stał nieruchomo, zastanawiając się, co powinien w tej sytuacji zrobić, po czym wyszedł przed warsztat. Chłód opadł na niego nieprzyjemnym dreszczem, jak złodziej wyskakujący nagle zza rogu. To go oprzytomniło. Wyjął telefon, ale powstrzymał się przed wybraniem numeru Eli. Była winna, myślał. Niech trochę pocierpi. Dobrze jej to robi. Mogła powiedzieć, że chce pożyczyć znajomej pieniądze, a nie brać bez jego wiedzy. Nie miał jej za złe tego, że z sejfów zniknęło dwadzieścia tysięcy, a to, że o niczym mu nie powiedziała. Kiedy ją zapytał, tłumaczyła się dość pokrętnie, zasłaniając się mało konkretnymi słowami o koleżance w potrzebie, ale nie powiedziała, o kogo chodzi. Marek pamiętał, że tego rodzaju nieudolności stały się przyczyną rozpadu związku jego rodziców, a przynajmniej takie wspomnienie w sobie nosił. Nie chciał tego powtarzać we własnym życiu, dlatego wściekł się, gdy zrozumiał, że żona coś ukrywa i w dodatku robi to nieudolnie, jak dziecko, któremu się wydaje, że wystarczy zapewnić, że nie kłamie, aby rodzic mu uwierzył. No właśnie, dziecko... To też był temat, do którego w ostatnim czasie Ela często wracała. Być może chodziło o wiek, bo oboje byli już mocno po czterdziestce i w zasadzie wchodzili w ostatni moment na ewentualne rodzicielstwo. Nie mówiła mu tego wprost, ale wyraźnie dawała do zrozumienia, że winą za brak dziecka w ich związku obarcza jego. Sama kilkakrotnie zrobiła komplet wszystkich niezbędnych badań, ale jego nie mogła na to namówić. Kiedyś, mimochodem, jakby zupełnie bez przyczyny, zapytała go, czy to prawda, że marihuana może

mieć wpływ na płodność, ale nie podjął tematu. Domyślił się jednak, że zanim zadała to pytanie, zdążyła przeczytać wystarczająco dużo artykułów w internecie, by wyrobić sobie na ten temat opinię. Inna rzecz, że sam kilkakrotnie natknął się w sieci na badania, które dość jednoznacznie mówiły o negatywnym wpływie palenia na męską płodność. Brał pod uwagę, że problem mógł dotyczyć również jego, ale poczucie wstydu podpowiadało sprawdzoną formę obrony, jaką był atak. Marek atakował więc tym zacieklej, im boleśniej dobijała się do niego świadomość konsekwencji własnego uzależnienia. Kiedy więc w jego towarzystwie ktokolwiek poruszał temat posiadania dzieci, dosadnymi słowami miotał zarzuty wobec koncernów farmaceutycznych za bliżej niesprecyzowane knucie przeciwko ludzkości, firmy chemiczne oskarżał o zatrucie jedzenia, a rząd światowy, czymkolwiek miałby on być, o dążenie do zniewolenia wszystkich ludzi. Nie dbał o sens tych wypowiedzi. Chodziło mu o zagłuszenie. Ten zabieg przynosił ulgę o tyle, że kanalizował narastającą w nim frustrację. Ponieważ jednak nie rozwiązywał problemu, Marek Kosicki wypalał coraz więcej marihuany, żeby uciszyć wyrzuty sumienia, które w takich chwilach stawały się nad wyraz dotkliwe. Stał teraz skulony przed warsztatem, z telefonem w dłoni, zestawiając w myślach poczucie własnej dumy z troską o żonę i czysto ludzką zazdrością, ponieważ zaczął podejrzewać Elę o nieuczciwość. Nie sądził, że mogłaby go zdradzić, ale jej zachowanie nie było, według niego, w porządku. W tym momencie zadzwonił właściciel Audi. Marek zaklął i odebrał, po czym w kilku zdaniach uciął rozmowę. To jednak wystarczyło, by wytrącić go z psychicznego

stanu, w którym jeszcze chwilę temu się znajdował. Niech się trochę nad sobą zastanowi, dobrze jej to robi, pomyślał i nagle uspokojony wszedł z powrotem do warsztatu. Tym razem mechanicy nie oderwali się od wykonywanej pracy, a on przeszedł wprost do biura i usiadł przed komputerem. Zajął się zamawianiem potrzebnych części i odbieraniem kolejnych telefonów, które rozdzwoniły się akurat teraz, gdy potrzebował spokoju. Z drugiej strony dzięki temu nie myślał o Eli i tego chyba także potrzebował. O siedemnastej pracownicy wyszli z warsztatu, a Marek znów miał wrażenie, że między nimi zawisło coś niewypowiedzianego. Uchwycił ich ukradkowe spojrzenia, ale nie zapytał, o co chodzi. Kiedy tylko ich auta wyjechały, z kieszeni wyjął woreczek z marihuaną i kilka chwil później zaciągnął się mocno dymem. Nie poczuł jednak ulgi. Tym razem szklana tafla, która powinna oddzielić go od świata, miała grubość foliowej torebki. Zbyt mało, aby nie czuć. Potem Marek wszedł do domu i usiadł w pustej kuchni. Cisza zaczynała dźwięczeć, a wrażenie to, spotęgowane działaniem narkotyku, stawało się nie do zniesienia. Wczoraj, przedwczoraj i kilka dni temu o tej porze słyszał tu głos Eli i to mu wystarczało. Nawet gdy nic nie mówiła, wciąż w różny sposób zaznaczała swoją obecność. Słyszał jej kroki, chrząknięcia, przesuwanie przedmiotów, nastawianie wody na kawę, a dziś nic. Wszystkie te dźwięki świadczące o toczącym się w domu życiu zamarły nagle, przekształcając się w przeszywający czaszkę pisk. Mimo to Marek podjął decyzję, że zaczeka. Nie będzie dzwonił. Niech zrozumie, że jeśli zawiniła, powinna sama przyjść po zgodę, a nie uciekać. Z obawą myślał jednak o samotnej nocy, bo brał pod uwagę,

że Ela mogła spędzić ją u którejś koleżanki. Zdarzało się to, co prawda sporadycznie, choć nigdy z powodu kłótni, ostatecznie jednak nie byłoby niczym dziwnym.

Około północy, kiedy już leżąc w łóżku, wypalał ostatnią tego dnia porcję marihuany, przyszły do niego nieoczekiwanie wspomnienia z początków ich znajomości. Była to historia tak zwyczajna, jak tylko zwyczajna może być opowieść o młodych ludziach mieszkających w sąsiednich wsiach, którzy poznali się na dyskotecie. To znaczy z widzenia znali się już wcześniej, ale do tej pory nie mieli okazji wyjść poza standardowe „cześć”. Przypadkiem znaleźli się obok siebie i zaczęli rozmawiać. Później już nie przypadkiem szukali okazji, by spotykać się częściej. Po miesiącu, może dwóch oboje przeczuwali i dzielili się tymi przeczuciami ze swoimi znajomymi, że będą razem. Pobrali się rok po pierwszym spotkaniu w dyskotecie. Ela miała dwadzieścia jeden lat, a Marek był od niej o dwa lata starszy. Ona nie pytała, czy miał przed nią jakąś dziewczynę, a on nic nie wiedział o Bogdanie. Nie wiedział też o Ryszardzie, ale akurat o tej znajomości nie wiedział nikt. Przywołując w myślach obraz siebie i żony sprzed ponad dwudziestu lat, zasnął w ciszy, która teraz już nie dźwięczała. Była głucha... martwa...

* * *

– No jedz, przecież sobie tego nie gotowałam. – Maria Łobacz podniosła głos, spoglądając z wyrzutem na brata. Jego mętne, przekrwione oczy mówiły, że skądś wziął pieniądze, a potem wymienił je w sklepie U Wienia na butelkę wódki lub kilka

butelek piwa. To akurat nie miało znaczenia. Liczył się ostateczny efekt, a ten w przypadku Ryszarda był łatwy do przewidzenia. Całkowite zamroczenie. Maria spotkała go, gdy postąpił już kilka kroków w wyznaczonym kierunku. Wzięła go bez słowa pod rękę, a on nie stawiał oporu. Pewnie gdyby była jego żoną czy matką, kazałby jej pójść do diabła. Była jednak siostrą. Z sobie tylko znanych powodów darzył ją respektem. Nie był to respekt, który budził w nim ojciec, kiedy oboje byli jeszcze dziećmi. Respekt oparty na strachu. Jedno spojrzenie starego wystarczało, żeby Rysiek wyznał wszystkie winy swoje, siostry i kolegów, a nawet to, o czym jedynie pomyślał. Marii się nie bał. Słuchał jej z miłości. Po prostu. Choć we wsi ludzie różnie mówili i dobrze o tym wiedział. Oboje zdawali sobie z tego sprawę i obojga to nie obchodziło. A sąsiedzi, nie wszyscy, ale co z tego, skoro plotka wypowiedziana na jednym końcu wsi po godzinie była powtarzana w każdym domu, mówili, że on z nią jak z żoną żyje. No bo jak to tak, tłumaczyli, jeszcze nie starzy, każde mogłoby sobie kogoś znaleźć, a jednak wybrali życie samotne. To znaczy Maria od niedawna. Od kilku lat dopiero, odkąd wróciła do rodzinnego domu. Bo wcześniej normalnie miała męża. Nie miała tylko szczęścia, bo dzieci się z tym mężem nie doczekała, a i on sam okazał się pechowy. Dwóch się na niego rzuciło. Jeden popchnął go tak, że się przewrócił i głową uderzył o krawężnik. Pobicie ze skutkiem śmiertelnym, a co najgorsze, jak się później dowiedziała Maria, napadli go przez pomyłkę. Podobny był do kogoś, z kim tamci dwaj mieli jakiś zatarg. Pech chciał, że tego wieczora jej mąż przeciął im drogę, a w ciemności jego profil wydał się im podobny. Po pogrzebie

sprzedała mieszkanie i wróciła do Góry, do domu rodziców, w którym akurat przebywał jej młodszy brat Ryszard. Napsuł on krwi rodzicom, kiedy był dzieckiem. Od początku był trochę inny i dzisiaj najpewniej kolekcjonowałby diagnozy wszelkich możliwych poradni, ale w tamtych czasach rodzice ani nie wiedzieli, że można pójść z dzieckiem do specjalisty, ani też nie dostrzegali takiej potrzeby. Ot, głupi był trochę. A bo to on jeden? W szóstej klasie podstawówki groził dyrektorowi, ale i to dało się jakoś załagodzić. Rok później jednak miarka się przebrała. Kolejna kradzież poskutkowała poprawczakiem, który jak wiadomo, był tak nazywany chyba wyłącznie z przekory. Regułą była postępująca demoralizacja wśród przebywających tam młodych ludzi i jeśli nastolatek, który trafił do takiej placówki, źle rokował, szybko nadrabiał zaległości i po kilku miesiącach pobytu nie rokował już wcale. Rysiek nie aspirował do zdobywania przestępczych umiejętności ani znajomości. Izolację traktował trochę jak przygodę, a trochę jak coś, co się po prostu wydarzyło. Wyszedł po dwóch latach i zgodnie z przewidywaniami rodziców i nauczycieli poprawczak wyznaczył jego życiu jeden kierunek. Niby próbował jeszcze uczyć się zawodu, ale co pewien czas przerywał naukę i wyjeżdżał w Polskę. Nikt nie wiedział, gdzie wtedy był i co robił. Czasem tylko zadzwonił do Marii powiedzieć, że wszystko u niego w porządku. Któregoś razu zadzwonił z więzienia, do którego trafił za kradzież. Jak się okazało, wpadł, bo myślał zbyt wolno, a jego koledzy wykorzystali to bez skrupów. Wyszedł po sześciu latach i wtedy już nawet nie starał się udawać, że zamierza pracować lub żyć w sposób uważany powszechnie za normalny. Ryszard nie zamierzał założyć

rodziny i nie widział wartości w dorabianiu się czegokolwiek, ale nie wynikało to z jakiegokolwiek kalkulacji czy z przekonań, a z braku wiary, że te rzeczy mogłyby być dla niego osiągalne. Aby zaspokoić bieżące, skromne potrzeby, nie musiał codziennie wstawać do pracy, a do zimna, głodu i braku wygod zdążył się już przyzwyczaić. Dlatego choć miał dom, wybrał los kłoszarda. Zbierał złom i żywił się w stołówkach dla bezdomnych, a także pił. Z piciem miał problem taki, że wpadał w okresowe ciągi. Kiedy z nich wychodził lub chciał wyjść, przyjeżdżał do rodzinnej Góry. Dom rodziców stał niezamieszkały i niszczał, na tyle jednak powoli, że mimo upływającego czasu służył mu za schronienie. Sąsiedzi rozmawiali wtedy między sobą, podając z ust do ust pytanie, czy jest uczciwe, że na co dzień korzysta on z pomocy przeznaczonej bezdomnym, chociaż ma gdzie mieszkać i gdyby tylko chciał pracować, nie różniłby się niczym od nich. Nikt jednak nie brał pod uwagę, podobnie jak sam Ryszard, że jego sposób życia nie był do końca świadomym wyborem, a scenariusz jego biografii zaczął się pisać w pierwszych latach życia, gdzieś między nieudolnością rodziców i systemu, który zareagował karą zamiast dawać opiekę. Teraz nie miało to już znaczenia. Pomieszkiwał przez kilka miesięcy w domu rodziców, a w tym czasie utrzymywał się z drobnych prac zleczanych mu przez sąsiadów, z którymi mimo wszystko miał dobre stosunki. Nauczył się też kłusować, co zapewniało mu źródło białka oraz niechęć leśniczego, którą potęgował fakt, że Ryszard był blisko Marii. Niechęć ta nasiliła się zwłaszcza w ostatnich miesiącach, ale tego nikt poza leśniczym nie wiedział. W każdym razie mężczyzna zdążył się już zorientować, że Ryszard zakłada w lesie

pułapki na zwierzęta, i czekał na dogodną okazję, by złapać go na gorącym uczynku. Po śmierci męża Maria wróciła do rodzinnego domu i zamieszkała z bratem. Jej obecność miała na niego o tyle dobry wpływ, że kiedy doszedł do siebie po wielotygodniowym ciągu alkoholowym, nie wrócił do miasta. Ona znalazła pracę w pobliskim miasteczku, a on pracował przy domu. Siostra chciała, aby i on podjął pracę, i była na dobrej drodze, by go do tego przekonać. Na razie zdobywał pieniądze, pomagając sąsiadom i kłusując. Jakiś czas temu Rysiek odnowił znajomość z kolegą z Suwałk, który prowadził tam komis samochodowy, i ten zaproponował mu wspólny interes. Należało sprowadzić samochód ze Stanów, a potem sprzedać go z zyskiem na Litwie. Znajomy miał potrzebne kontakty, a Ryszard miał wyłożyć połowę potrzebnego kapitału. Nie wiedział co prawda, jak miałby zdobyć dwadzieścia tysięcy złotych, ale za punkt honoru postawił sobie, że zrobi to, by dać sobie szansę na inne życie. Poza tym obiecał to Marii. Rysiek nie mówił o tym siostrze, ale ona widziała, że coś go gnębi. Mimo największej determinacji zdobycie dwudziestu tysięcy nie było sprawą łatwą, a na pewno taką, z którą mógłby się sam uporać. Dwa tygodnie temu przypadkiem spotkał za wsią Elę Kosicką, z którą rozmawiał po raz pierwszy od wielu lat. W pewnym momencie, teraz już nie wiedział, dlaczego to zrobił, wyznał jej, że mimo upływu czasu zachowała urodę, której zresztą kiedyś uległ. Bo kiedyś przez tydzień czy dwa byli razem. Oboje już prawie o tym zapomnieli, ale chociaż była to jedynie młodzięńcza przygoda, musiały towarzyszyć jej na tyle silne emocje, że kiedy teraz, po latach braku kontaktu, zaczęli rozmawiać, słowa

znajdowali z trudem. Początkowo jeszcze sądzili, że to upływ czasu ich onieśmielał, ale po kilku minutach Ela, jako pierwsza, zorientowała się, że coś w niej odżyło. Ryszard też to poczuł i choć zazwyczaj z łatwością przychodziło mu nawiązywanie kontaktów, teraz słowa potykały się o język, który nie wtórował myślom. Kolejne spotkanie było również przypadkowe, ale tym razem rozmowa poszła im łatwiej. Do tego doszło coś nieokreślonego, co Ela dostrzegła w jego spojrzeniu, nie wiedząc, że i on zauważył to samo w jej oczach. Wymienili się numerami telefonów. Ryszard wiedział, że kobieta była żoną właściciela warsztatu, a ich nowy dom podpowiadał mu, że finansowo radzili sobie dość dobrze. Było to zresztą powodem chwilowego skrępowania, które zaczął odczuwać, myśląc o tym, kim sam jest w zestawieniu z jej mężem. Szybko jednak porzucił tę myśl, ponieważ w kontakcie z Elą dostrzegł dla siebie szansę. Podczas jednego ze spotkań wspomniał jej o pomysle na biznes, który zaproponował mu znajomy, i o tym, że brakuje mu kapitału. Nie prosił jej o pożyczkę, a jedynie powiedział o szansie, która się przed nim pojawiła. Liczył, że Ela sama wyjdzie z propozycją, i się nie pomylił. Może i nie był najbystrzejszy, ale obserwatorem był na tyle niezłym, by dostrzec, że Ela przejęła się jego losem, gdy opowiadał, jak sobie do tej pory radził. Powiedziała mu, że kwota, jaką wymienił, nie jest wygórowana jak na możliwość stanięcia na nogi. Ryszard słuchał tych słów z jednej strony z radością na myśl o tym, że jego plan się powiódł, z drugiej zaś z obawą o to, czego mogłaby chcieć w zamian. W jego przypadku pożyczka, nawet na najbardziej korzystnych warunkach, nie wchodziła w grę.

Kilka dni później zadzwoniła do niego, a kiedy się spotkali, ze szczerym uśmiechem wręczyła mu bez słowa gruby plik pieniędzy. Zrozumiał, że nie oczekiwała zwrotu.

– Co ci się stało w rękę? – zapytała Maria, obserwując zabandażowaną niechlujnie dłoń brata, gdy ten uniósł łyżkę.

– Nic, nieważne. Skaleczyłem się – odpowiedział i włożył do ust porcję jedzenia. Kiedy się zorientował, że siostra oczekiwała dokładniejszych wyjaśnień, szybko nabrał kolejną łyżkę, a po niej następną.

Kobieta pokręciła głową z dezaprobatą. Domyśliła się, że nie chciał mówić.

– W lesie byłeś? Pewnie żelazo stawiałeś? – nie dawała za wygraną.

Ryszard przestał na chwilę przeżuwać, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć, skoro domyślała się, jaka była przyczyna zranienia.

– Daj spokój, nie ma o czym gadać – powiedział w końcu, próbując ją zbyć.

Maria zatrzymała wzrok na jego twarzy. Nie mógł wyczytać z jej spojrzenia, co tak naprawdę teraz myślała. Znał jej stosunek do kłusowania, ale widział, że tym razem nie chodziło jej o zwykłe pretensje. Otworzyła lekko usta, jakby słowa zatrzymały się powstrzymywane niepewnością lub obawą przed wypowiedzeniem na głos tego, co napawa podświadomym lękiem. Na wszelki wypadek, chcąc uniknąć rozmowy, jeszcze bardziej zwiększył tempo jedzenia. Kiedy spojrzał ukradkiem na siostrę, dostrzegł, że wyraz jej twarzy się zmienił, a widoczne jeszcze przed chwilą napięcie zniknęło. Z ulgą dokończył posiłek, wstał szybko i podszedł do kuchenki.